

MARCIN
PAKASZ



DZIWNE
PRZYPADKI

FERDYNANDA
SZKODNIKA





MARCIN PALASZ

(ur. 1971)

– w młodości chciał zostać kosmonautą. Urzeczywistnieniu jego marzenia miały służyć studia na wydziale astronomii, które porzucił na rzecz pracy w agencji reklamowej. Jego przekorna natura sprawiła jednak, że został autorem książek dla dzieci. Zadebiutował w 2004 roku *Opowieściami z Krainy Potworów*. Powieść *Straszyć nie jest łatwo* otrzymała nominację do nagrody Polskiej Sekcji IBBY jako Książka Roku 2004. Dwukrotny laureat wyróżnienia w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Kornela Makuszyńskiego – za *Wakacje w wielkim mieście* (2007) i *Wszystko zaczyna się od marzeń* (2008). Ponadto, w 2008 roku, za *Licencję na zakochanie* został nominowany do nagrody im. Kornela Makuszyńskiego.
www.marcinpalasz.pl

seria z kotem



Anna Dale
Tajna agentka Dawn

Franklin W. Dixon
Bracia Hardy. Śmiertelne niebezpieczeństwo
Bracia Hardy. W oparach szaleństwa

Karen Karbo
Minerva Clark na tropie
Minerva Clark schodzi na psy
Minerva Clark traci ducha

Jari Mäkipää
Poradnik Klubu Detektywów „Huragan”
Klub Detektywów „Huragan” i zaginione kartki

Dariusz Rekosz
Czarny Maciek i wenecki starodruk

Christopher Russell
Szybki Jack i krwawy gabinet

Małgorzata Strękowska-Zaremba
Detektyw Kefirek na tropie kościotrupa

w przygotowaniu:

Jari Mäkipää
Klub Detektywów „Huragan” i straszliwa piwnica

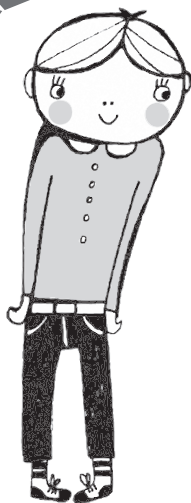
Franklin W. Dixon
Bracia Hardy. Śledztwo na promenadzie

Sophie de Mullenheim
FBI i dziewięć kocich żywotów

MARCIN
PAKASZ



DZIWNE
PRZYPADKI



FERDYNANDA
SZKODNIKA

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010
Wydanie I
Warszawa 2010

1



NOWY SMS

OD: SZKODNIK

GUCIU, BYLEM JUZ NA TARASIE WIDOKOWYM
I WIDZIALEM TEN SAMOLOT! JEST OKROPNIE
DUZY!!! BOJE SIE STRASZNIE.

NOWY SMS

OD: GUCIO

A JA CI ZAZDROSZCZE!!! RAZ LECIALEM
I BYLO SUPER! MOJ TATA CIAGLE GDZIES
LATA I NIGDY NIC SIE NIE STALO.
NIE BOJ ZABY!

„Nie bój żaby” – pomyślał Szkodnik ponuro, chowając telefon do kieszeni. Jasne, łatwo Guciovi powiedzieć...

Odrzucił gwałtownie głowę, gdy nagle usłyszał cienki, dziewczęcy głos:

– Tatusiu, ten chłopczyk ma jakiś dziwny kolor.

To zaskakujące stwierdzenie padło z ust niedużej, rudowłosej dziewczynki, która stała w kolejce do odprawy paszportowej tuż przed Szkodnikiem, Piotrkim oraz ich mamą i tatą.



– Wcale nie dziwny – mruknął Szkodnik, obrzucając dziewczynkę niechętnym spojrzeniem. – Moim zdaniem, jest to kolor sinokoperkowy. A w ogóle to wolę być sinokoperkowy, niż mieć włosy koloru zgniłej marchewki. Jasne?!

– Ależ Ferdynandzie! – mama Szkodnika drgnęła nerwowo, słysząc te słowa. – Jak możesz? Tak nie wolno! Ona jest mniejsza od ciebie, nie powinieneś dukać młodszym dziewczynkom! I w ogóle nikomu!

Szkodnik poczuł się oburzony, tym bardziej że nie lubił, gdy ktokolwiek zwracał się do niego, używając prawdziwego imienia. Poza tym w tej chwili kolor jego twarzy faktycznie mógł budzić pewne zaniepokojenie, co przed chwilą sam stwierdził w toalecie. Z kilku powodów czuł się bowiem trochę niepewnie.

– I co z tego, że jest mniejsza? – Burknął gniewnie, nie zwracając uwagi na karcące spojrzenie pana w niebieskiej koszuli, trzymającego dziewczynkę za rękę. – Niedługo podrośnie i pewnie będzie większa ode mnie. Wiesz, mam, że dziewczynki dojrzewają szybciej? Ale OK, masz rację. Zgniła marchewka to nie jest dobre określenie.

– Uff – wyrwało się pani Wiesławie, czyli jego mamie, bowiem jej młodszy syn rzadko kiedy przyznawał się do błędu. Ulga przeszła jej jednak równie szybko, jak przysłała.

– Zgniła marchewka jest zielona – skorygował Szkodnik po krótkim namyśle. – Więc ta tutaj jest po prostu bardzo dojrzała. Taka zwyczajna stara marchew.

– Moja córka ma włosy koloru zachodzącego słońca – rzekł surowo pan w niebieskiej koszuli, na-



chylając się w ich stronę. – Za-
wsze jej to powtarzam, bo dzieci
czasem się z niej śmieją. Rozu-
miesz, młody człowieku? To jest
kolor zachodzącego słońca!

– Po każdym zachodzie
w takim kolorze przychodzi
burza – rzekł Szkodnik cierpko,
przestępując z nogi na nogę.
– Więc niech pan lepiej uważa,
bo moim zdaniem szkody w oto-
czeniu będą znaczne. Mamo,
pójdę kupić sobie jeszcze coś do
picia. Zaraz wrócę. Mogę?

Pan w niebieskiej koszuli za-
krztusił się i zamilkł, dziewczynka wyglądała, jakby
miała za moment się rozplakać, a tata Szkodnika głą-
boko odetchnął.

– Możesz – rzekł przez zaciśnięte zęby. – Przed
nami jeszcze sporo osób, więc trochę to potrwa.
Masz tu dziesięć złotych.

– Przynies mi przy okazji butelkę coli – mruknął
Piotrek, spoglądając na młodszego brata z czymś
w rodzaju podziwu pomieszanego ze zgrozą.

– I tak każą ci ją wyrzucić, zanim przejdiesz
przez bramkę – bąknął Szkodnik, patrząc na ludzi,
którzy po przejściu przez wykrywacz metali przed
wejściem do hali odlotów najczęściej wracali i ścią-
gali buty oraz paski przy spodniach, a potem prze-
chodzili jeszcze raz. Akurat na ich oczach ochrona
lotniska odprowadziła gdzieś na bok poważnie wy-
glądającego pana w garniturze. Ten widok sprawił,
że Szkodnik poczuł się jeszcze bardziej niepewnie.



Plan, który przygotował z tak wielkim poświęceniem, mógł nie wypalić! Skąd jednak miał wiedzieć, że ta cała lotniskowa ochrona jest taka skuteczna i skrupulatna?!

Droga do holu, gdzie mieściły się kioski z napojami, była dość krótka. Mimo to Szkodnikowi z pewnych powodów szło się dość ciężko i wtedy właśnie pomyślał, że być może jego znakomity plan nie był aż tak dobry, jak mu się to wcześniej wydawało...

Gdy wracał z butelką coli dla Piotrka oraz drugą, z której popijał napój herbaciany o smaku brzoskwiniowym, jego wzrok padł na bardzo bladego, dość młodego pana, który siedział na jednym z niebieskich krzesełek pod ścianą. Kolor jego fizjonomii można było określić tylko jednym słowem, i właśnie wtedy Szkodnik nie wytrzymał. Przystanął, wspiął się na palce, zauważył, że rodzice i Piotrek są jeszcze dość daleko od bramki z wykrywaczem metali, po czym zdecydowanym krokiem podszedł do siedzącego pod ścianą faceta.

– Pan też jest sinokoperkowy – rzekł krótko i konkretnie, siadając obok. – Właśnie o to słowo mi chodziło. Boi się pan latać, czy jak?

Blady pan, kurczowo ściskając w dłoni reklamówkę, spojrzał na niego dość nieprzytomnie.

– Jaki ja jestem?! – spytał, odsuwając się lekko. – Co powiedziałaś?

– Spox, niech pan się nie martwi! – pocieszył go Szkodnik. – Sinokoperkowy. Niektórzy po prostu boją się latać i stąd te problemy. Pan dokąd?

– Słucham? – bąknął pan rozpaczliwie. – Nie rozumiem. Czy ja wyglądam na osobę, która boi się latać?



– No, ba! – prychnął Szkodnik. Jeszcze raz przyjrzał się ciemnowłosemu facetowi i uznał, że wzbudza on względne zaufanie. Z oczu patrzyło mu dość dobrze. Zresztą tu na lotnisku nikt nie będzie się na Szkodnika rzucał w niecnym celach, o których tyle się słyszało w radiu czy w TV.

– Rozumiem, że to „ba” miało znaczyć, że wyglądam na osobę w szoku przed lotem – odparł pan sceptycznie.

– Pewnie leci pan pierwszy raz i ogarnia pana panika, tak? Czytałem o tym – rzekł Szkodnik możliwie optymistycznie. – Niech pan się nie martwi. Podobno samoloty są najbezpieczniejszym środkiem transportu na świecie!

– Super – mruknął pan, po czym odstawił reklamówkę na podłogę. – Myślisz, że o tym nie wiem?

Prawdę mówiąc, Szkodnik miał nadzieję, że nowy znajomy rozwiąże przynajmniej jeden z dwóch problemów, które dręczyły go w tym momencie. Czyli strach przed lataniem. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że gdy boją się dwie osoby, to jest łatwiej. Teraz jednak wyglądało na to, że była to płonna nadzieja, bo widok roztrzęsionego faceta wcale nie poprawił mu humoru.

– No, kurczę – westchnął głęboko, popijając kolejny łyk pseudobrzoskwiniowego napoju o podejrzanym składzie chemicznym. – Ale przynajmniej mam z kim o tym pogadać. A w dodatku nie powiedział pan, dokąd leci.

– Do Warszawy – rzekł smętnie pan. – Bo tak jest najszybciej. I po co mi to było?

– Bo szybciej – odparł rezolutnie Szkodnik. – Niech pan to sobie powtarza.



– Nie powinienem przyznawać się dzieciom, że boję się latać – powiedział ponuro mężczyzna, patrząc w przestrzeń przed sobą. – To nie jest... nie jest...

– Humanitarne? – podsunął Szkodnik życzliwie. – Ma pan rację. A tak w ogóle, jestem Szkodnik. A pan?

– Nie jestem szkodnikiem! – zdenerwował się zniecierpliwiona jego rozmówca. – I nie mów tego głośno, bo zaraz mnie zatrzyma ochrona. Mam na imię Marcin, lecę do stolicy, w dodatku nie odrzutowcem, tylko czymś ze śmigłami!

– Ja przynajmniej lecę odrzutowcem – poinformował go z dumą Szkodnik. – Boeingiem 737. Taki duży, ma dwa silniki. I lecę razem z rodzicami i bratem do Tunezji, na wczasy. Oni mówią, że będzie fajnie, ale jak dla mnie tam jest za gorąco. Nie cierpię upałów...

– Do Tunezji lata się najwcześniej w październiku – mruknął pan Marcin i po raz pierwszy spojrzął na Szkodnika nieco przytomniej. – Jak to „Szkodnik”? Przecież nie masz tak na imię, prawda?

– Nie mam – mruknął Szkodnik pośpiesznie, stawiając swoją niewielką torbę podróżną na podłodze, między stopami. – I nawet niech pan nie pyta, bo i tak nie powiem, jak mam naprawdę na imię. Wszyscy mówią na mnie „Szkodnik” i to powinno wystarczyć.

– Wystarczy – padła niespodziewana odpowiedź, a chwilę później pan Marcin nagle się roześmiał. – Na mnie mówią Kajtek. I też nie powiem ci, dlaczego. To co, złożymy sobie nawzajem obietnicę, że postaramy się nie bać tych samolotów?

– Myśli pan, że to pomoże?



– Warto spróbować. Ja w każdym razie obiecuję. No, kolego, teraz kolej na ciebie!

– Dobra, to ja też – zgodził się Szkodnik, bo zaszkodzić to na pewno nie mogło, a może nawet pomoże? – Czyli że jednak pan nie stchórzy i poleci zgodnie z planem, tak?

– A mam inne wyjście? – zdumiał się pan Marcin, po czym głęboko westchnął. – Żona mnie zamorduje, jeśli teraz wrócę do domu.

– Może pan jechać pociągiem – mruknął z uporem Szkodnik. – Nam byłoby trudniej, bo do Tunezji chyba nie jeździ żaden ekspres... Do Warszawy łatwiej.

– Niedoczekanie. Sześć godzin w jedną stronę?! Jestem duży i dam sobie radę w samolocie.

– Ja nie jestem duży i nie wiem, czy dam sobie radę... – wyrwało się Szkodnikowi, zanim zdążył ugryźć się w język. – No i proszę, co pan narobił najlepszego? Teraz zaczynam się poważnie zastanawiać, czy to normalne, żeby się tak okropnie czegoś bać!

– A czy to w czymś szkodzi? – spytał krótko pan Marcin. Wstał nagle z krzesła i spojrzał ciepło na Szkodnika. – Mamy w życiu takie sytuacje, kiedy się czegoś boimy, prawda? Każdy ma. Niektórzy boją się latać, inni jeździć samochodem, inni boją się kuchenek mikrofalowych albo... sam nie wiem, na przykład wstawać z łóżka lewą nogą.

– Nie boję się kuchenek mikrofalowych! – zaprotestował Szkodnik słabo. – Przecież w kuchence robię sobie hamburgery.

– Niezdrowo – skarcił go pan Marcin. – Choć przyznam ci się, że od czasu do czasu też jem hamburgery. No, ale jesteś przecież facetem?



– A nie wyglądam na to? – oburzył się Szkodnik i prawie poderwał się z niebieskiego krzeselka. – Jeśli tak...

– No właśnie wyglądasz – pan Marcin uniósł dłoń. – A wiesz, co to są stereotypy?

W pierwszej chwili Szkodnikowi przyszedł na myśl jego nowoczesny zestaw muzyczny, ale już w drugiej zrozumiał nagle, o czym mówi jego rozmówca.

– Chodziło panu o stereotypowego faceta, tak?

– Masz jedenaście lat, ale chwytasz bezbłędnie! – w głosie pana Marcina słychać było wyraźny podziw. Czyli rozumiesz, że facet... No, dokończysz?

– Dokończę – Szkodnik westchnął ponownie. – Facet ma być niezniszczalny i kuloodporny. I nie bać się latania, a przynajmniej tego nie okazywać, tak?

– Ech – bąknął z zadumą pan Marcin, wpatrując się w elektroniczną tablicę odlotów. – Temat wymaga kontynuacji, ale... O mój Boże, jeśli teraz tam nie pójdę, to nie wpuszczą mnie na pokład!

– Ferdynand!!! – wrzasnął ktoś z oddali. – Gdzie jesteś?!

– Jak można mieć na imię Ferdynand? – mruknął pan Marcin i ponownie spojrzął na Szkodnika, który nagle zmarkotniał, gdyż rozpoznał zarówno wołający go głos, jak i imię. – Z drugiej strony, mieć takie imię i być uśmiechniętym to sama radość!

Szkodnik prychnął, gdyż komentarz wydał mu się stanowczo nie na miejscu.

– Ferdynandzie? – to słowo padło niczym grom z jasnego nieba, a gdy pan Marcin spojrzął na niego, w jego uśmiechniętych oczach skrzyły się łobuzerskie isierki. – Leć bezpiecznie! No, przecież wiem,



że to o ciebie chodziło. Masz przy torbie plakietkę z imieniem i nazwiskiem. Baw się dobrze w Tunezji!

– Postaram się – szepnęła Szkodnik, któremu nagle zrobiło się żal, że jego sympatyczny towarzysz leci gdzie indziej.

– Ferdynand?! – usłyszał oburzony głos dokładnie wtedy, gdy patrzył na pana Marcina przekraczającego bez problemu bramkę do hali odlotów krajowych. – A więc, Ferdynandzie, ja mam na imię Angela! I popamiętasz mnie podczas tego lotu, bałwanie! Obiecuję ci to!

Szkodnik mógł tylko bezradnie patrzeć na rudowłosą dziewczynkę, która stała nad nim, patrząc na niego nienawistnym wzrokiem.

Ledwo zdążył. Jeden z ochroniarzy usiłował akurat włączyć laptopa, należącego do niewinnie wyglądającej kobiety, stojącej w ogonku tuż przed nimi. Z jakichś powodów laptop nie chciał się włączyć i to najwyraźniej bardzo nie podobało się ochroniarzowi. W dodatku drugi ochroniarz wyciągnął z bagażu podręcznego kosmetyczkę, pogrzebał w niej chwilę, wyjął małą, plastikową butelkę z jakimś medycznymi oznaczeniami, po czym zamarł.

– Co to jest? – spytał surowo.

– To jest płyn do soczewek kontaktowych – odparła kobieta znękany głosem.

– Czy ma pani na to receptę?

– Słucham? – przestraszyła się kobieta, cofając się o krok. – Jaką znowu receptę?! Soczewki nosi się zamiast okularów, proszę pana! A płyn kupuje się bez żadnej recepty!



– Jeśli nie ma pani recepty, to musi pani to wyrzucić przed wejściem do hali odlotów – oświadczył ochroniarz, wyglądając bardzo groźnie i profesjonalnie w swoim antyterrorystycznym umundurowaniu. – Do samolotu nie wolno wносить żadnych płynów.

– Nie mam recepty. A czy wy macie na lotnisku lekarza okulistę?

Ochroniarza chyba zdziwiło to pytanie.

– Proszę pani, to jest lotnisko, jak sama pani zauważyła, a nie przychodnia rejonowa. Proszę to wyrzucić do tamtego kubła.

– Dobrze – zgodziła się kobieta niespodziewanie, zaczynając histerycznie się śmiać. – Wyrzucę, oczywiście. Tylko w takim razie poproszę jeszcze o pana imię, nazwisko i numer telefonu.

– Słucham?! – zdumiał się ochroniarz. – A dlaczego chce to pani wiedzieć?

– Dlatego że jeśli dziś wieczorem nie będę mogła zdjąć moich soczewek i umieścić ich w tym płynie, to dostanę zapalenia spojówek. Nie sądzę zaś, aby w Tunezji sklepy optyczne były na każdym rogu, tym bardziej w hotelu na wyspie. Więc potrzebuję pana danych, aby pozwać pana po powrocie o odszkodowanie z powodu utraty wzroku. Czy teraz pan rozumie?

Umundurowany antyterrorysta zamarł na chwilę, wpatrując się w buteleczkę, a potem delikatnie włożył ją z powrotem do kosmetyczki.

Kobieta otarła łzy, płynące jej ze śmiechu, uspokoiła się nieco, przeszła przez bramkę, która o dziwo nie zapiszczała, wzięła z taśmy swoje bagaże i poszła dalej.



– Szkodnik? – szepnęła nerwowo pani Wiesława. – Teraz my. Tylko pamiętaj, żebyś był dla nich miły i się nie kłócił. Oni tak muszą, to ich praca, rozumiesz?



Szkodnik rozumiał. I nie było mu z tym dobrze. Ta cała skrupulatność lotniskowej ochrony przyprawiała go w chwili obecnej niemalże o palpacje. W dodatku z nerwów zaczęło go swędzieć ucho. Zawsze tak było, gdy czymś bardzo się przejął.

– Przestań się tak drapać! – syknął Piotrek. – Bo zaraz pomyślą, że jesteś czymś zarażony i na pewno nie wpuszczą nas na pokład!

– Odczep się – mruknął Szkodnik ponuro, pełen złych przeczuć. – Jak ci się nie podoba moje ucho, to na nie nie patrz.

Tymczasem tata przeszedł już przez bramkę bez najmniejszych problemów, pani Wiesława zaś wykladała właśnie do plastikowej skrzynki zawartość swojej kosmetyczki.

– Tylko proszę uważać z tymi perfumami – rzekła z lekkim zaniepokojeniem. – To Givenchy. Nie wiem, co zrobię w Tunezji, jeśli teraz by się rozbiły!

– Perfum na pokład samolotu pani nie wniesie – twardo powiedział ochroniarz. – To jest materiał łatwopalny. Czemu nie włożyła ich pani do bagażu głównego?

– Czy pan oszalał?! – zgorszyła się pani Wiesława, zamierając w pół kroku przez bramkę wykrywacza metalu. – Ten lot trwa kilka godzin! Przecież tamta pani wzięła to coś do oczu, prawda? I też było



płynne! A pan wyobraża sobie, że mogłabym nie mieć przy sobie moich perfum?!

– Właśnie tak to sobie wyobrażam – padła odpowiedź. – I w tym wypadku nie zamierzam zrobić wyjątku. Przecież nie wpuszcza sobie pani tych perfum do oczu, prawda? Nie są niezbędne dla pani zdrowia?

Szkodnika zaswędziało drugie ucho i podrapał się w nie tak gwałtownie, że spod rękawa wysunęło się coś, co absolutnie nie miało prawa się stamtąd wysunąć. Z brzękiem spadło na podłogę, a Szkodnik niemal padł na kolana, usiłując to podnieść i schować jak najszybciej. Niestety, nie był pierwszy. Jego brat, wytrzeszczając z przerażenia oczy, schylił się w tej samej chwili, przez co obaj stuknęli się głowami, aż zadudniło.

– Odbiło ci kompletnie?! – wyszeptał Piotrek ze zgrozą. – Co to niby ma być?!

– To, na co wygląda – burknął rozdygotany Szkodnik, chowając pospiesznie mały przedmiot z powrotem do rękawa. – A co? Może się przydać. Tylko nie wiedziałem wcześniej, że wszyscy muszą przejść przez ten durny wykrywacz metali!

– No pewnie, że wszyscy muszą! A coś ty sobie myślał?!

– Myślałem, że może dzieci traktują ulgowo...

Piotrkowi zrobiło się słabo, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej, bowiem nadeszła kolej Szkodnika. Ten zamknął na moment oczy, po czym wywlókł na wierzch kieszenie od spodni i pokazał je ochroniarzowi. Były całkowicie puste.

– Przechodź, kolego – mruknął umundurowany byczek, przeglądając podręczny bagaż Szkodnika



i nie znajdując w nim niczego, co wzbudzałoby podejrzenia.

– A nie mogę bokiem? – wymamrotał Szkodnik, kiwając się niepewnie przed bramką. – Boję się tego urządzenia.

– Nic ci nie zrobi – uśmiechnął się drugi ochroniarz. – Pierwszy raz będziesz leciał, co?

– Pierwszy.

– Mówię ci, że nie ma się czego bać...

– Phi, a wcześniej był taki odważny! – pisnęła z tyłu rudowłosa dziewczynka, złośliwie chichocząc. – I jaki wygadany! A teraz zachowuje się jak Ryjek z Muminków, cha, cha! Tchórz!

– Znalazła się Marchewkowa Panna Migotka! – prychnął Szkodnik, nie wiedząc, co powinien zrobić. – A może...

– Szkodnik, przełaź przez to natychmiast! – zażądał szeptem Piotrek, choć sam miał pewne obawy, wiedząc, co jego brat trzyma w rękawie. – Bo inaczej te Buki w mundurach nas aresztują i będzie draka!

– Ferdynand, co ty wyprawiasz? – rzekł ze zdenerwowaniem tata z drugiej strony. – Chodź tu do nas i nie opóźniaj kolejki!

– Co za dziecko – rzekła pani Wiesława z rozpaczą, po czym niespodziewanie zrobiła dwa kroki, wzięła go za rękę i przeciągnęła przez bramkę na swoją stronę.

Wtedy nagle zamigotały światła i rozległo się tak głośne wycie alarmu, że Szkodnik zdrętwiał.

Chwilę później zapadła cisza.

– A mówiłeś, kolego, że nie masz nic w kieszeniach? – pochylił się ku niemu ochroniarz.



– Bo nie mam! – jęknął Szkodnik żałośnie. – Sam pan widział!

Ucho zaswędziało go ponownie, więc gwałtownie podniósł rękę, na skutek czego na podłogę ponownie wypadło coś, co tym razem, niestety, zobaczyli wszyscy.

– A to ciekawostka – mruknął ochroniarz, podnosząc ów przedmiot i przypatrując mu się z zadumą. – Ładny scyzoryk, wielofunkcyjny, w dodatku z korkociągiem... Ile ma ostrzy?

– Cztery – rzekł roztrzęsiony i czerwony Szkodnik. – No i korkociąg. Niech go pan zatrzyma, to znać cały scyzoryk, nie tylko korkociąg. Na pamiątkę. To... to ja już sobie pójdę tam dalej.

– Chwileczkę, musisz teraz przejść jeszcze raz – zatrzymał go strażnik. – Chcielibyśmy się upewnić, że nie masz więcej scyzoryków.

Szkodnik zerknął w tył i pierwsze, co ujrzał, to oczy wszystkich pasażerów, wpatrujące się w niego ze zgrozą i potępieniem. Tylko mała, rudowłosa dziewczynka chichotała pod nosem z wyraźną uciechą.

Pod gradem ponagleń ze strony zdenerwowanego taty, nie mając innego wyjścia, Szkodnik ponownie przeszedł przez bramkę.

Gdy alarm znowu zawył, Piotrek zamknął oczy i złapał się za głowę, a obaj pracownicy zrobili się jakby nieco bardziej oficjalni.

– Na bok? – spytał jeden drugiego półgłosem, wskazując gestem biednego Szkodnika.

– Na bok – drugi wzruszył ramionami i spojrział na panią Wiesławę. – Czy pójdzie pani z synem i naszym pracownikiem do pokoju przeszukań, czy woli pani, żeby poszedł z nami mąż?



ODLOTY



– No, pięknie – wymamrotał Piotrek, wkładając do skrzynki swój telefon, portfel i pasek do spodni. – To już sobie poleciliśmy...

Gdy Szkodnik z widocznymi oporami ściągał bluzę, do pokoju zajrzał niewysoki, szpakowaty mężczyzna w eleganckim mundurze. Za nim widać było jeszcze jednego pana w podobnym umundurowaniu oraz dwie młode, ładne panie z neseserami w dłoniach.

– Kapitan Szymkowiak! – przywitał go ochroniarz, nie spuszczać jednak oka ze Szkodnika. – Mamy tu jednego z pana pasażerów.

– Mam nadzieję, że nie miał przy sobie bomby? – spytał z humorem kapitan, uprzejmie kiwając głową pani Wiesławie, która w tej chwili wolałaby zapisać się pod ziemię. Gotowa była przeboleć swoje perfumy, które musiała oddać przy bramce, byle tylko nie okazało się, że jej młodszy syn ma przy sobie kolejne zakazane przedmioty. Miała jednak złe przeczucia, bowiem przezwisko „Szkodnik” było głęboko uzasadnione.

– Na razie znaleźliśmy scyzoryk – rzekł ze śmiechem pracownik ochrony, po czym drgnął nerwowo na widok tego, co ujrzał, gdy Szkodnik wreszcie zdjął bluzę i odłożył ją na bok. – Co to jest?

Chłopiec żałośnie spojrzał na swoje przedramię, owinięte czymś, co wyglądało jak srebrna, dość gruba nitka. Potem, pod nosem, wymamrotał słowa, których nikt nie rozumiał.

– Czy to jest garota?! – spytał wstrząśnięty kapitan, gdy pracownik lotniska zaczął odwijać dziwną, srebrną nitkę. – Na miłość boską...!



– To struna do gitary! – wrzasnął Szkodnik ze łzami w oczach. – Wziąłem sobie zapasową!

– Ferdynand, przecież ty nie masz gitary – wyszeptła pani Wiesława ochryple. – Grasz tylko na fortepianie, i to słabo! Po co ci zapasowa struna?

– Fortepian też ma struny – powiedział kapitan Szymkowiak, czując lekkie oszołomienie. – Może to struna do fortepianu. Czy nadali państwo fortepian w bagażu głównym?

– Myślę, że o nadaniu fortepianu na bagaż wszyscy byśmy słyszeli – odparł równie oszołomiony ochroniarz, nerwowo poprawiając kamizelkę kuloodporną. – A nawet o zwyczajnym pianinie.

– Miałem zamiar kupić gitarę w Tunezji – rzekł Szkodnik ponuro, widząc, że chyba nie ma już nic do stracenia. Postanowił grać *va banque*. – Podobno te gitary z Tunezji są najlepiej nastrojone. Oj tam, jedna struna. Czepiacie się i tyle.

– Co to jest ta... garota? – spytała niepewnie pani Wiesława, wołąc, by jej syn miał przy sobie ten przedmiot z zamiłowania do muzyki, zamiast z innych, bardziej mrocznych powodów. Biorąc jednak pod uwagę scyzoryk z czterema ostrzami i okazałym korkociągiem, powoli zaczęła w to wątpić. – Czy to coś groźnego?

– Można tak powiedzieć – odchrząknął kapitan, robiąc kilka kroków i spoglądając na plecy Szkodnika. – Musiałaby pani spytać o garotę niektórych zawodowych zabójców. Nie oglądała pani nigdy *Ojca chrzestnego*? Zaraz... panie Marku, co on tam ma na plecach, pod koszulką?

Ochroniarz, nazwany panem Markiem, obejrzał Szkodnika od tyłu i z pewnym niepokojem



ujrzał pod T-shirtem dziwne, podwójne wybrzuszenie.

– Mam zwyrodnienie kręgosłupa – powiedział Szkodnik nerwowo. – Chyba nie każecie mi ściągać koszulki? Ja się wstydzę moich deformacji!

To na chwilę zastopowało zarówno kapitana, jak i ochroniarza, gdyż od razu przyszedł im do głowy proces sądowy i pokrywanie kosztów psychoterapii tego dziwnego chłopca wywołanej traumą po ujawnieniu jego schorzeń. Wtedy jednak kapitan przytomnie spojrzał na panią Wiesławę, która nagle poczuła ochotę, by wejść do jednej z szafek biurowych stojących pod ścianą i nie wychodzić z niej przez dłuższy czas. Może nawet szafkę, z nią w środku, udałoby się nadać na bagaż, by nie oglądali jej inni pasażerowie?

– Czy pani syn ma zwyrodnienie kręgosłupa? – spytał niepewnie kapitan Szymkowiak, zwracając się do niej. Następnie, kierowany wrodzoną delikatnością i taktem, przeprosił gestem stewardesy i drugiego pilota, którzy w dalszym ciągu stali za progiem, i zamknął drzwi. – Bo jeśli tak, to...

– Nie ma żadnego zwyrodnienia – wyszeptała pani Wiesława, patrząc tępo w sufit. – Nikt z naszej rodziny nie jest zwyrodniały. Pod żadnym względem. Może on po prostu się zgarbił? Szkodnik, nie garb się! O Boże, ja nic nie rozumiem, nic!!!

– My na razie też niczego nie rozumiemy – powiedział pocieszająco ochroniarz, zawahał się lekko, i wsunął dłoń w lateksowej rękawiczce pod koszulkę Szkodnika. Ten drgnął nerwowo i zachichotał.

– Mam łaskotki! – rzekł ostrzegawczo, wijąc się przy tym, ale to nie bardzo pomogło. Ochroniarz



przez chwilę z czymś się mocował, po czym dał się słyszeć jakby odgłos odrywanego plastra. Szkodnik wrzasnął i podskoczył, pani Wiesława poderwała się na równe nogi, jednak pracownik już trzymał w dłoniach to, co wyciągnął spod Szkodnikowej koszulki.



Wyglądało to jak dwa niezbyt długie kawałki kija od szczotki, połączone solidnie wyglądającym, metalowym łańcuszkiem.

– No nie – powiedział kapitan tępo. – To przecież nunchaku, niech mnie drzwi ścisną!

– Czy syn ma skłonności do przemocy i używania narzędzi walki? – spytał ochroniarz, dochodząc do siebie. – Bo wie pani, to wszystko nie wygląda zbyt dobrze...

Pani Wiesława z otępieniem wpatrywała się w kolejny przyrząd o dziwnej nazwie. Mimo wysilenia wyobraźni, nie umiała sobie wyobrazić, do czego mógł on służyć, jednak biorąc pod uwagę poprzednią wzmiankę kapitana o zawodowych mordercach, nie oczekiwała już żadnego pocieszenia.

– Nie ma skłonności – odpowiedziała, patrząc, jak trzęsą jej się dłonie. – I nie używał, i nie produkował. Nie wiem, skąd to ma. Nic nie wiem!

– Naoglądał się filmów o japońskich karatekach – zawyrokował niepewnie ochroniarz. – Ale po co ci to wszystko na pokładzie samolotu?!

– Tą struną chciałem po prostu związać ręce porywaczom. A poza tym, odmawiam odpowiedzi bez obecności mojego adwokata! – oznajmił Szkod-



nik grobowym głosem, otwierając wreszcie oczy. – Czy mogę już sobie iść?

– Nie – odrzekł stanowczo ochroniarz. Wyobraził sobie bowiem, że ten niepozorny, jasnowłosy chłopiec opuszcza terminal lotniska i robi na parkingu masakrę za pomocą jakiegoś kolejnego, potworzonego narzędzia, które do tej pory pozostało niewyjawione. – Hmm... Ściągnij spodnie.

– Mamo, czy to już jest molestowanie? – spytał niepewnie Szkodnik, patrząc na panią Wiesławę, która na przemian bladła i czerwieniała, przypominając tym samym flagę narodową na wietrze.

– Nie jest – powiedziała rozpaczliwie. – Ja tu jestem i nikt cię nie molestuje. Mój Boże, to miał być taki spokojny urlop!

– To miał być taki spokojny lot – niczym echo odparł kapitan Szymkowiak, z coraz większym niepokojem patrząc na tego straszliwego dzieciaka, który – na domiar złego – wyglądał niczym żywcem wyjęty z pogodnej reklamy serka śniadaniowego. – Ja chcę być absolutnie pewny, że on nie ma przy sobie niczego więcej. O ile, oczywiście, ma znaleźć się na pokładzie mojego samolotu.

Pomyślał nagle o swoim równie niewinnie wyglądającym synu w wieku jedenastu lat. Postanowił solennie, że po powrocie z tego lotu poważnie z nim porozmawia i sprawdzi zawartość jego biurka i szafek. Oraz filmy, które syn ogląda podczas jego nieobecności.

– W dalszym ciągu domagam się adwokata – wymamrotał Szkodnik, posłusznie, acz powoli, opuszczając spodnie i odsłaniając chude nogi. – To jest naruszenie mojego konstytucyjnego prawa do...



– Na miłość boską! – przerwał mu ochroniarz, wpatrując się w nogi Szkodnika, do których przyklejone były kolejne przedmioty. – Czy to są żyłeczki? A tam na łydce, brzytwa?!

– W takim razie nie chcę wiedzieć, co on ma w skarpetkach i w butach! – jęknął kapitan Szymkowiak, którego widok żyłek przyprawił o wstrząs. – I od razu oznajmiam, że tego dziecka na pokład nie wezmę! Skoro ma takie narzędzia, to znaczy, że nie wiadomo, co umie zrobić gołymi rękami!

Pani Wiesławie przyszły na myśl treningi judo, na które od miesiąca uczęszczał jej młodszy syn, i zrobiło jej się jeszcze bardziej słabo.

– Mój brat ćwiczy karate – bąknął w tej samej chwili Szkodnik, który nagle zaczął rozumieć, że chyba nigdzie dziś nie poleci. No, chyba że kapitan żartował? Właściwie to miał ochotę namówić go na wizytę w kabinie pilotów, ale teraz pewnie już nic z tego nie wyjdzie...

– On ma brata?! – zaniepokoił się kapitan, patrząc oskarżycielsko na panią Wiesławę. – Czy może oni są bliźniętami i mają podobne zainteresowania?!

– Nie są! – wybuchła pani Wiesława ze łzami w oczach. – Tamten jest spokojny i używa tego karate tylko w dobrych celach! Niedawno uratował swoją przyjaciółkę przed dwoma nastoletnimi złodziejami!

– Dobry chłopiec – rzekł z uznaniem ochroniarz, wydobywając z buta Szkodnika niewielki śrubokręt. – A ten tutaj uratował już kiedyś kogoś?

– Taki miałem zamiar – powiedział Szkodnik ponuro, wytrząsając z drugiego buta mały widelec



deserowy. – To już wszystko, słowo honoru. Nie mam nic więcej. Mogę przejść przez tę całą głupią bramkę, jeśli chcecie.

– On nie poleci! – zastrzegł nerwowo kapitan. – Jeśli będzie na pokładzie, odmówię startu.

Pani Wiesława też zaczęła rozumieć, że plany urlopowe jej rodziny stoją pod dużym znakiem zapytania.

– Czy życzy pani sobie, by te narzędzia przekazać... – zaczął pracownik ochrony, jednak zamarł, gdy matka chłopca obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

– Życzę sobie moc przez chwilę spokojnie pomyśleć – warknęła, nagle odzyskując spokój. – Pozwólcie mu się ubrać! Jeśli powiedział, że nie ma nic więcej przy sobie i zgadza się na przejście przez bramkę, to znaczy, że już naprawdę nie ma żadnych dziwnych rzeczy. Zostawcie mnie z nim chociaż przez chwilę!

Gdy kapitan i ochroniarz posłusznie opuszczali pokój, zabierając ze sobą pojemnik z garotą, nunchaku, brzytwą, żyłetkami, śrubokrętem i widelcem, Szkodnik pomyślał, że teraz się zacznie. Mama zwykle była bardzo łagodna, ale czasami...

Pani Wiesława jednak nie zamierzała prawić mu kazań. Zdecydowana była doprowadzić do tego, by jej rodzina, choćby nie w pełnym składzie, miała swój urlop w Tunezji. Wyciągnęła z kieszeni telefon i wybrała numer.

– Tato? – spytała po chwili przygnębionym głosem. – Czy możesz przyjechać na lotnisko i zabrać stąd Szkodnika?... Nie, nie chcesz wiedzieć, co się stało. Sam ci opowie przy odrobinie dobrych chęci.



Odlot mamy za półtorej godziny, więc jeśli możesz, to się pospiesz...

NOWY SMS
OD: SZKODNIK
GUCIU, MASAKRA!!! WYRZUCILI MNIE
Z LOTNISKA. WRACAM DO DOMU.
JAK ZWYKLE CHCIALEM DOBRZE I ZNOWU
NIE WYSZLO :(

To było właśnie to, czego Szkodnik najbardziej się obawiał. Wakacje w domu! Myśl o tym, że jego rodzice oraz brat w tej właśnie chwili znajdują się w startującym do Tunezji boeingu 737, sprawiła, że jeszcze bardziej skurczył się na tylnym siedzeniu taksówki.

– Czy teraz mogę wreszcie spytać, dlaczego to zrobiłeś? – spytał łagodnie pan Kornel, dziadek Szkodnika. – Chyba że wolisz opowiedzieć mi w domu?

Szkodnik przez chwilę intensywnie myślał, po czym spojrział na dziadka swoimi niewinnymi, brązowymi oczami.

– A czy mogę najpierw zadzwonić do Gucia? – poprosił żałośnie. – Bo on już o wszystkim wie i chce pogadać. A ty w tym czasie zadzwoń do jego babci. Nie macie dziś randki?

Dziadek odchrząknął z zakłopotaniem.

– No dobrze, zadzwoń do niego – rzekł wyrozumiale, rozumiejąc, że jego najmłodszy wnuk ma problemy, z którymi najpierw powinien porozmawiać z przyjaciółmi. A choć Szkodnik i Gucio poznali się całkiem niedawno, to od razu znaleźli wspólny język, pomimo kilkuletniej różnicy wieku. On sam



zaś, prawdę mówiąc, rzeczywiście odczuwał wielką potrzebę, by porozmawiać w tej chwili z babcią Gucia, czyli panią Natalią.

– Witaj, słońce moje! – przywitał ją ciepło, gdy tylko odebrała swoją komórkę. – Posłuchaj i nic nie mów. Moja córka, jej mąż i Piotrek polecili właśnie do Tunezji...

– Coś pięknego! – wyrwało się babci Gucia. – No i Szkodnik, nie zapominaj o nim. To takie dobre dziecko.

– No właśnie – odchrząknął dyplomatycznie pan Kornel. – Szkodnik nie poleciał. Ochrona lotniska odmówiła wpuszczenia go na pokład. Teraz jest ze mną w taksówce. To znaczy Szkodnik, a nie ochrona; oni dali mu już spokój. Podobno miał przy sobie mnóstwo strasznych narzędzi przygotowanych w morderczych celach...

– Wcale nie morderczych! – oburzył się niespodziewanie Szkodnik, odrywając się na chwilę od swojego telefonu. – Ja tylko chciałem ochronić pasażerów przed terrorystami! Ale nikt nie chciał mnie słuchać.

– Co on mówi? – spytała z zaciekawieniem pani Natalia. – Chyba nie dosłyszałam. Czy na pokładzie byli terroryści?!

– Czy na pokładzie byli terroryści? – spytał Szkodnika zrezygnowany pan Kornel.

– Nigdy nic nie wiadomo! – wykrzyknął Szkodnik, a oczy nagle mu się rozjaśniły. – I właśnie o to chodzi! Tyle się o tym czyta, a nikt niczego nie robi! Dlatego ja postanowiłem... Zaraz, poczekaj, Guciu, mówię do dziadka... Rozumiesz, dziadku? Postanowiłem mieć przy sobie coś, żeby w razie czego móc sobie poradzić! Przecież tamci terroryści, którzy



porwali samoloty jedenastego września, sterroryzowali obsługę nożem do papieru!

Dziadek uniósł dłoń, uspokajając Szkodnika, który po chwili wahania powrócił do przerwanej konwersacji z Guciem.

– On po prostu chciał zabezpieczyć swoją rodzinę przed niespodziewanym atakiem na pokładzie samolotu – powiedział pan Kornel.

– Co za cudowne dziecko! – odparła babcia Gucia z nagłym rozrzewnieniem. – Popatrz, Kornelu, jak on o nich myśli! Mam tylko nadzieję, że na pokładzie faktycznie nie będzie żadnych bandziorów. Gdyby tylko tam byli, to pewnie dałby im radę!

– Ale teraz jest tutaj – mruknął pan Kornel ze smutkiem. – Zbliża się koniec wakacji, oni wszyscy będą się bawić w Tunezji, a ten mały biedak będzie spędzał czas ze starym i nudnym dziadkiem. Nie jest mi z tym dobrze.

– Nie jesteś stary i nudny – zaprotestowała stanowczo pani Natalia.

– Słonko moje – szepnął pan Kornel do słuchawki, tak aby nie słyszał go wnuk. – Ja to wiem, ty to wiesz, ale młodemu potrzebne jest towarzystwo rówieśników. Tym bardziej w wakacje.

– Kornelu, Gucio niedługo jedzie do Kudowy – rzekła wreszcie babcia z lekkim wahaniem. – Pamiętasz, wspominałam ci, że jego przyjaciel z Łodzi zaprosił go tam na ostatni tydzień sierpnia. I tak sobie myślę...

– Tak, kwiatuszku? – spytał wreszcie pan Kornel, nie mogąc się doczekać dalszego ciągu. – Co chciałaś powiedzieć?

– Czy puściłbyś Szkodnika razem z nim?



Dziadek zamilkł, rozważając tę propozycję.

– Oczywiście nie nalegam – dodała pani Natalia z westchnieniem, przerywając milczenie. – Ale daję ci słowo honoru, że zarówno ja, jak i moja córka i jej mąż sprawdzili wszystko starannie, zanim wyrazili zgodę na wyjazd Gucia z Bąblem. Tam mieszka babcia tego chłopca. Nawet rozmawiałam z nią przez telefon i zdaje mi się, że się z nią zaprzyjaźnię! W ogóle oni wszyscy to bardzo przyzwoita rodzina. Więc...

– Zróbmy tak – przerwał jej pan Kornel. – Dziś i tak byliśmy umówieni, więc zostawię Szkodnika w domu i przyjadę po ciebie, tak jak to planowaliśmy wczoraj. I wtedy o tym porozmawiamy, dobrze?

– Zostawisz Szkodnika samego? – wyrwało się pani Natalii. – To znaczy, chciałam powiedzieć, że...

– Że oboje mamy nadzieję, że po moim powrocie do domu ów dom będzie jeszcze stał, tak? – spytał pan Kornel. – Obiecuję ci, że przed wyjściem zamknę główny zawór gazu. Czy... czy twoim zdaniem powinienem też odciąć prąd?

Gdy skończył rozmowę, poczuł się nieco lepiej niż wtedy, gdy odbierał z lotniska ponurego Szkodnika, który miał łzy w oczach.

– O co chodzi? – spytał jego wnuk, trącając go łokciem na tylnym siedzeniu taksówki. – Gadaliście o mnie, tak? Planujesz obóz karny czy zakład poprawczy?

Pan Kornel obrzucił go nieodgadzionym spojrzeniem i tajemniczo się uśmiechnął.

– Życie jest pełne niespodzianek – odparł niezbyt jasno, przynajmniej zdaniem Szkodnika. – Porozmawiamy o tym jutro rano, dobrze?



Szkodnik nie wiedział, czy to dobrze, zwłaszcza że dziadek nie zaprzeczył jego pytaniu o obóz karny. Postanowił na wszelki wypadek przygotować się solidnie do jutrzejszego poranka, bo wiedział doskonale z prasy i Internetu, że w domach poprawczych dzieją się nieciekawe rzeczy.

Zdaje się, że w szufladzie biurka została jeszcze jedna struna od gitary.



Książki oraz bezpłatny katalog Wydawnictwa W.A.B.
można zamówić pod adresem:
ul. Usypiskowa 5, 02-386 Warszawa
oraz pod telefonem 0 801 989 870
handlowy@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Redaktor serii: Natalia Sikora
Korekta: Jadwiga Piller, Elżbieta Jaroszuk

Projekt graficzny serii, I strony okładki i ilustracje we wnętrzu:
Olga Reszelska
Projekt logo serii: Joanna Rusinek

Wydawnictwo W.A.B.
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Studio *Page Graph*, Warszawa
Druk i oprawa: ABEDIK S.A., Poznań

ISBN 978-83-7414-789-7



ROBAK
SYMPATYCZNY



MARCIN
PAKASZ

DZIWNE PRZYPADKI FERDYNANDA SZKODNIKA

Poznajcie Szkodnika, czyli dziesięcioletniego Ferdynanda. Słynie z tego, że wie, kiedy i jak coś zepsuć. Chociażby wyjazd na wakacje do Tunezji. Próba wniesienia na pokład samolotu kilku żyletek, noży, szczyryka i nunczaku kończy się tym, że odlatuje cała rodzina – prócz Szkodnika, który zostaje wysłany do Kudowy-Zdroju. Ale to dopiero początek prawdziwych przygód. W miasteczku grasuje złodziej napadający na domy starsuszków. Czy Szkodnik go wytropi? I jaki związek z tymi kradzieżami ma niedoszły pasażer lotu do Tunezji, którego chłopiec poznał na lotnisku?

Wydawnictwo
ab
two

978-83-7414-789-7



9 788374 147897

cena 24,90 zł

50 groszy z każdego
sprzedanego egzemplarza
przekazujemy
na schronisko dla kotów

WIEK 9+

